

Boski szef czy ordynator z syndromem Boga?



Kim jest doktor G.?

Marzena Bracka

Tyran czy wymagający szef? Wspaniały kardiochirurg czy zręczny operator, łasy na łapówki?

Doktor Mirosław G. konsekwentnie powtarza, że nigdy *koperty* nie żądał, ale dostawał przeróżne *dowody wdzięczności*: kwiaty, alkohol, wieczne pióra, inne upominki – z dedykacjami i podziękowaniami od ministrów, posłów, prezesów, ludzi znanych i nieznanymi. A podlegli mu lekarze zeznają przeciwko niemu, bo był wymagający...

Przyjęcie 41 łapówek i 9-krotne uzależnienie od nich operacji lub przyjęcia do szpitala to korupcyjne zarzuty warszawskiej prokuratury wobec Mirosława G., byłego ordynatora kardiochirurgii w Szpitalu MSWiA w Warszawie. Lekarz nie przyznaje się do winy.

W tym precedensowym procesie warszawski sąd wyznaczy granice między korupcją a zrozumiałymi wyrazami wdzięczności, jakie pacjenci składają – w różnych formach – lekarzom, którym zawdzięczają zdrowie, a niekiedy życie. Prokuratura w akcie oskarżenia podkreśla, że nie ma przepisu sankcjonującego wręczanie pieniędzy jako dowodu wdzięczności. Przy czym żaden pacjent, który wręczył lekarzowi upominek rzeczowy, nie stanął przed sądem.

Co jest w materiale dowodowym?

Na nagranych przez CBA filmach z ordynatorskiego gabinetu widać, jak pacjenci próbują mu niekiedy wcisnąć pieniądze, ale doktor G. każe im je zabrać. Są również filmy pokazujące, jak wdzięczni pacjenci dają lekarzowi kopertę, a ten odkłada ją po prawej stronie biurka. No tak, ale nie wiadomo, co w kopertach było, bo nie sprawdziło tego CBA. Bo przecież mogły to być pieniądze, ale też – jak powiedział jeden z wręczających – wyniki badań. Doktor G. oświadczył, że wszystkie pieniądze, jakie otrzymał, przekazywał szpitalowi.

Jak wynika z tajnych nagrań CBA z gabinetu doktora G., potrafił on rozmawiać z pacjentami i ich rodzinami, umiejętnie ich rozluźniając, rzucając czasem jakiś żart. Musiał przecież powiedzieć im, że operacja będzie trudna, ale zaraz zapewniał, że pacjenci są w jego klinice pod najlepszą opieką, że dostaną *leki z górnej półki*.

U śledczych zapala się czerwona lampka. Czy to sformułowanie niektórych z pacjentów mogli odebrać jako sugestię, że trzeba za te leki zapłacić? Doktor G. przekonuje, że nic takiego nie miał na myśli.

Lekarze świadczący na niekorzyść swego byłego ordynatora mówią, że *cierpiał na syndrom Boga – bo darował ludziom życie*. Grupa byłych pacjentów, a także rodziny tych, którzy zmarli po operacji, oskarża go o przyjmowanie łapówek i nierówne traktowanie chorych. – *Pan mi mówił, że jest najlepszym kardiochirurgiem w Polsce, że co to nie pan!* – wykrzyzczała w sądzie kobieta, twierdząca, że wiele lat temu dała mu kilka tysięcy złotych za wszczęcie by-passów. Pacjenci oskarżający lekarza sami zgłaszali się na infolinię CBA, niekiedy ładnych parę lat po tym, gdy doszło do korupcji.

Jest i druga strona medalu: nikt nie ujmuje doktorowi G. zdolności i zasług w dziedzinie kardiologii – od dawna miał opinię wybitnego specjalisty i sam często mówił, że podejmował się operowania pacjentów, którym inni nie dawali żadnych szans. Grupa tych, którym darował nowe życie, będzie mu za to zawsze wdzięczna. Mówili to zresztą, gdy przesłuchiwało ich podczas procesu. Powtarzali na sądowych korytarzach, gdy przychodzili *kibicować* doktorowi G. w ławach dla publiczności. W przerwach obdarowywali swego dobroczyńcę kwiatami, książkami, częstowali ciasteczkami czy wręczali koperty – z życzeniami świątecznymi, co zaraz dodawali, gdy oskarżony zartobliwym tonem pytał, co jest w środku, bo przez koperty ma same kłopoty. Stanęli murem za swym lekarzem, gdy minister Zbigniew Ziobro w lutym 2007 r. poinformował o postawieniu lekarzowi zarzutu zabójstwa pacjenta i mówił: *Już nikt nigdy przez tego pana życia pozbawiony nie będzie*. Wątek zabójstwa jest ostatecznie i prawomocnie umorzony przez prokuraturę i sąd. Uznano, że doktor G. ryzykował, ale po to, by ratować pacjentów, a nie ich uśmiercać.

Szef z syndromem Boga

Niewątpliwie doktor G. ma silną osobowość. Nawet w sądzie, gdy składał oświadczenie, a adwokaci w tym czasie rozmawiali szeptem między sobą, wypalił do nich: *Przepraszam, czy ja państwu nie przeszkadzam?*

Ten proces jest dobrą okazją do przyjrzenia się, jakim szefem był doktor G. – nadzieja polskiej kardiologii, kierujący zespołem lekarzy, którzy w zdecydowanej większości oskarżają go o mobbing.



fol. PAP/Pavel Kdlo

„ Sąd wyznaczy granice między korupcją a wyrazami wdzięczności pacjentów dla lekarzy ”



fol. Agencja Gazeta

Prokuratura zarzuca doktorowi G. znęcanie się psychiczne nad podwładnymi, *uporczywe i długotrwałe zastraszanie personelu, mające na celu poniżanie, wyszydzenie i ośmieszanie*, wprowadzenie uznaniowego systemu wynagradzania w postaci premii, utrudnianie pracownikom podnoszenia kwalifikacji zawodowych i limitowanie prawa do wypoczynku.

Doktor G. od początku pobytu w Warszawie nie miał łatwo. Został ordynatorem w 2001 r., gdy szefowanie na kardiologii Szpitala MSWiA zakończył prof. Zbigniew Religa, który przeniósł się do Instytutu Kardiologii w Aninie. Poszła tam za nim spora część jego zespołu, a pozostali przy Wołoskiej sędzieli,

foto: PAP/Bartłomiej Zborowski



„ Nikt nie ujmuje doktorowi G. zdolności i zasług w dziedzinie kardiochirurgii ”

że to spośród nich zostanie wybrany nowy ordynator. Stało się jednak inaczej i prestiżowe stanowisko objął doktor G., wychowanek profesora Antoniego Działkowiaka z Krakowa, uchodzącego za zawodowego konkurenta profesora Religi – kardiochirurga, który w 1985 r. przeprowadził pierwszą w Polsce udaną operację przeszczepienia serca. Kilkanaście lat wcześniej, w 1969 r., operację przeszczepienia przeprowadzili profesor Jan Moll i jego uczeń – doktor Działkowiak. Nie udało się – pacjent zmarł na stole. Profesor Działkowiak podjął się kolejnej próby kilka lat po profesorze Relidze, a profesor Moll już nigdy więcej tego nie spróbował.

Doktor G., który wspomina niekiedy, że terminowanie u profesora Działkowiaka wymagało wielkich poświęceń i oddania, musiał skompletować zespół w Warszawie. Namawiał lekarzy z innych ośrodków, kusząc ich perspektywą nowych wyzwań zawodowych, możliwością zdobycia specjalizacji z kardiochirurgii, zarobkami. Chętnych znajdował, ale rotacja w zespole lekarskim i personelu pielęgniarskim była olbrzymia – w latach 2001–2007 przewinęło się przez ten prawie sto osób! Niektóre z nich zeznały na pro-

cesie, że nie były w stanie wytrzymać presji. Prokuratura nadała w sprawie status pokrzywdzonego trzem lekarzom i pielęgniarce.

Co na to oskarżony? Po profesorze Relidze miał założyć klinikę w bardzo złym stanie organizacyjnym. Ba, nawet higienicznym. Donosy na niego miały wziąć się stąd, że zaczął klinikę zmieniać, wprowadzając standardy krakowskie i amerykańskie – gdzie się szkolił na licznych stażach.

Nowy ordynator stwierdził, że lekarze na boku prowadzili działalność gospodarczą (jeden miał sklep). Zarzucał im brak podstawowej wiedzy. Zdaniem oskarżonego, opuszczali szpital w godzinach pracy. – *Nie dbano o higienę. Tuż przy sali operacyjnej był grzyb na podłodze, liczba dyżurek przewyższała liczbę sal dla chorych i w dyżurkach palono papierosy. Musiałem uczyć lekarzy, jak dobierać właściwy rozmiar gumowych rękawiczek, nakazałem noszenie białych skarpetek, co nie było praktykowane* – wyliczał Mirosław G.

Po przyjściu wprowadził nowe porządki: z pacjentami kontaktuje się tylko ordynator, wyrzucić wersalkę, odciąć telefony, zakaz wychodzenia poza oddział, służa, gdzie przed wejściem na blok operacyjny trzeba się przebrać z *cywilnych* ubrań i umyć, operacje zaczynają się od 7.30 rano, lekarze mają być dostępni w weekendy i nocą.

– *Lekarze byli zmuszani przeze mnie do pracy i dyscypliny, i rozliczani z błędów. Moje uwagi do nich były krytyczne, ale miały na celu dobro pacjentów* – mówił. Podkre-

ślał, że kardiochirurgia jest zazdrosna i wymaga poświęceń. Przyznał, że *wszystkie zmiany spotykały się z oporem*. Efekt dla pacjentów był jednak pozytywny – na kardiochirurgii w Szpitalu MSWiA robiony był co czwarty przeszczep serca w Polsce. Udało się to także dzięki temu, że doktor G. przekonał dyrektora Durlika do zorganizowania jeszcze dwóch sal operacyjnych na kardiochirurgii – ordynator, którego nazwisko było wpisane przy niemal wszystkich wykonanych operacjach przechodził tylko z sali na salę.

Nikomu z jego zespołu nie udało się jednak zrobić w czasie jego szefowania kliniką specjalizacji z kardiochirurgii, która dla większości lekarzy była powodem podjęcia pracy w zespole doktora G. Mogą się jednak pochwalić imponującą liczbą wykonanych pod kierunkiem doktora G. operacji – mieli ich na koncie po kilkaset, nawet niemal tysiąc, podczas gdy do specjalizacji wystarczy 150.

Według doktora G., zeznający przeciw niemu lekarze nie są wiarygodni, gdy oceniają jego decyzje dotyczące leczenia. Dlaczego? Bo albo oblali egzaminy specjalizacyjne z kardiochirurgii, albo było im jeszcze daleko do tego, żeby choćby do nich podejść. Mało tego – ponieważ doktor G. grozi oskarżającym go lekarzom, twierdząc, że lekarz krytykujący go za decyzje medyczne powinien się liczyć z możliwością wszczęcia przeciw niemu sprawy o naruszenie zasad etyki lekarskiej, które zabraniają takiej krytyki.

Skarżącym się na ordynatora podwładnym chodziło i o pieniądze, i o organizację pracy. Nie oszczędzają byłego szefa. Megaloman, psychopata, feudał – mówili. Nie krzyczał, nie był wulgarny. Podczas operacji

„ Doktor G.: – Musiałem uczyć lekarzy, jak dobierać właściwy rozmiar gumowych rękawiczek „

miał szturchać lekarzy, którzy – jego zdaniem – niewłaściwie coś robili.

Lekarzom trudno było się pogodzić z nowymi porządkami. Jak zeznał jeden z nich, profesor Religa, kierując kliniką, wyznawał zasadę, że nie może zatrzymywać w pracy personelu, gdy pracy nie ma – tzn. gdy nie przeprowadza się żadnej operacji. Motywował to tym, że kiedy operacja jest, lekarze muszą pozostawać tak długo, jak nakazuje potrzeba, niekiedy nawet do późnych godzin nocnych czy porannych. Doktor G. anulował te zwyczaje i nakazał zespołowi, by w pracy był przed nim – czyli przed 7.00, a wychodził po nim – czyli czasem nawet po 17.00 czy 18.00. Czasami wzywał lekarzy do szpitala poza godzinami pra-



Fot. PAP/Andrzej Wiktor

„ Megaloman, psychopata, feudał – tak określają doktora G. byli podwładni „

cy po to, by np. podczas operacji podtrzymali ssak lub wypełnili karty pacjentów.

Jeden z asystentów ordynatora zeznał w sądzie, że podstawową motywacją do pracy był strach o pieniądze, a system wynagrodzeń był niesprawiedliwy. Pensja kardiochirurga, wg niego, wynosiła ok. 1,2 tys. zł. Można było dorobić na dyżurach (w klinice lub w *zaprzyjawnionym* z doktorem G. ośrodku w Konstancinie), ale przede wszystkim dorabiano się dzięki premiom, a te w całości zależały od oskarżonego i były uznaniowe, zaś ograniczenie liczby dyżurów stanowiło formę kary.

Sąd zbadał, że taką karę ten asystent dostał raz – gdy podczas jego dyżuru jeden z pacjentów popełnił samobójstwo. Inny lekarz, który skarżył się, że został niesłusznie ukarany, otrzymał naganę za to, że – jak się okazało – śpiewał na cały głos arię operową w czasie pobierania od zmarłej osoby serca do przeszczepu.

Mirosław G. to – mówiąc ogólnie – człowiek oddany swej pracy i wymagający wiele od podwładnych. Na pytanie, czy mieściło się to w dopuszczalnym standardzie, odpowie sąd. Na pewno wielu jego podwładnym, także tym, którzy go oskarżają, imponowały jego zdolności operatorskie.

Trudnego charakteru nie obawia się prywatny Szpital św. Rafała w Krakowie – doktor G. ma tam pokierować tworzonym oddziałem kardiochirurgii. Dyrektor medyczny szpitala Elżbieta Ptak tłumaczy, że nie marnuje się takiej okazji, gdy na rynku jest świetny kardiochirurg do wzięcia. Doktor G. pali się do tej pracy, najchętniej już by operował. Na razie jedynie udziela konsultacji innym kardiochirurgom. Kompletuje nowy zespół. Łatwej pracy tam nie będzie, ale zawodowe wyzwanie: pracować u doktora G. – nie do porównania z żadnym innym. ■